

PETLA

A person stands on a pile of sticks and branches by a body of water. The person is silhouetted against a bright, hazy sunset or sunrise. In the background, there are trees and a utility pole. The entire scene is reflected in the calm water in the foreground.

W. & W. Gregory

PETLA

W. & W. Gregory



Copyright © by W. & W. Gregory, Stanica 2023
Copyright © by Wydawnictwo Opener, Stanica 2023

Wydanie I
ISBN 978-83-67837-03-3 (druk)
ISBN 978-83-67837-05-7 (ebook)

Grafika:
Tobiasz Stochel

Redakcja:
Dagmara Adwentowska

Korekta:
Czcionka Natalia Tarka

Łamanie i dtp:
Studio *grafpa*, www.grafpa.pl



www.wydawnictwoopener.pl
@wydawnictwoopener
@wwgregory

Konwersja:
Studio *grafpa*, www.grafpa.pl

PROLOG



Wimię Ojca i Syna, i Ducha Świętego. Nie wiem, jak to się dzieje, ale odnoszę wrażenie, że z dnia na dzień coraz głębiej grzęznę. Co prawda jako człowiek czuję się rozgrzeszony, posiadam zwyczajowe cechy gatunku, ale już jako mężczyzna, mąż, ojciec powinienem rozważyć plan unicestwienia własnego jestestwa. I to w szybki, bezbolesny dla otoczenia sposób. Niestety samobójstwo jest grzechem śmiertelnym, po nim idzie się prosto do piekła, więc tego nie uczynię. Liczę, że istnieje możliwość naprawienia błędów. Wiem, że jeśli powiem tylko prawdę, zostanie mi odpuszczone. W niebie tak. Ale czy na ziemi? Czy moi bliscy kiedykolwiek mi wybaczą? Czy ja będę w stanie wybaczyć sobie? Nie wierzę, że uda mi się odpokutować oczywiste winy. Czuję, że powinienem odbyć swoją drogę krzyżową, pokonać to, co nieuniknione, co zaplanował dla mnie Bóg. Jestem tylko ślepym trybikiem w Jego wielkiej machinie i postępuję tak, jak zostałem zaprogramowany. Niestety wiem też, że czas pracuje na moją niekorzyść. Z wiekiem brakuje mi na wszystko czasu, przez co staję się bardziej impulsywny, zgorzkniały, coraz rzadszy w swych ocenach, niefortunnie elastyczny, niemal śliski, choć paradoksalnie nadal poruszam się w granicach szeroko rozumianej moralności i wierzę w sprawiedliwość. Ale do przejścia na drugą stronę brakuje tak niewiele. I zamiast wyciągać wnioski z życia, ja brnę, dowodząc, że kosmiczna ciągłość to mój wybór. Jestem swoim planem, własną zewnętrżnością, dialektyczną grą, którą prowadzę sam ze sobą. Czuję się emanacją zewnętrżności i jej efektem zarazem. Sądzę, że bycie bohaterem tej opowieści staje się moim celem. Ale ja

nie chcę nim być. Wolałbym zaledwie uzewnętrzniać powierzchowne cechy, po których trudno mnie będzie rozliczyć jako całość. Powinienem zostać jedynie aktorem odgrywającym przypisaną mi rolę. Albo bohaterem własnego reportażu.



ROZDZIAŁ I



Jestem w związku z kobietą, którą nazywam Anielicą. Kocham ją nad życie, ale nie wiem, czy to o niej, czy może o Mateuszu, moim przyjacielu, powinienem powiedzieć, że jest dla mnie drugą połówką, bratnią duszą. Czasem miewam wątpliwości, które z nich jest mi bliższe. Nie jestem żadnym pedałem, nie w tym rzecz. To nie jest też zwykła, męska przyjaźń, lecz braterska więź, która trwa trzydzieści lat.

Z Mateuszem i dwoma kupkami z naszej paczki wybieramy się w ten weekend na łono natury. To nasze, tylko nasze święto. Mimo że każdy z nas ma swoje życie, żony, partnerki, drugie żony, trzecie partnerki, niektórzy dorobili się też dzieciaków, od dwudziestu dwóch lat co roku spotykamy się wyłącznie we własnym gronie. Jeździmy w zupełnie nowe dla nas miejsce, by pobycć razem, pogadać po męsku, zmęczyć się i coś odkryć. Równocześnie cały czas chlejemy, i tak aż do rana, a na drugi dzień spacer, żeby wytrzeźwieć przed drogą powrotną do szarej rzeczywistości. Zawsze według tego scenariusza. Oprócz nowego miejsca odkrywamy coś o nas samych, jakbyśmy prowadzili się za rękę. Ufamy sobie i możemy rozmawiać o wszystkim. Czterech samców ulepionych z różnej gliny, lecz złączonych świętym węzłem na wieki.

Trzy lata temu Mateusz powiedział nam, że ma guza i jeśli go nie wytnie, może się z tego zrobić nowotwór. Śmiertelnie się przejęliśmy, a on żartował, że to taki sam rak piersi, który dotyka kobiety, a tylko w rzadkich przypadkach mężczyzn. Przez to on, facet, czuje się wyjątkowy i zafunduje sobie silikonowe implanty albo kupi nowego

cycuszka po jakiejś młodziutkiej Wietnamce. Stać go na wszystko, bo robi te szemrane interesy. Jestem pewny, że gdyby zechciał, mógłby sobie kupić nawet z dziesięć cycuszków, a że ma żyłkę do biznesu, pewnie wynegocjowałby ze dwie nerki w zestawie.

Cierpiałem. Cierpiałem chyba nawet bardziej od niego, kiedy tak spokojnie o tym wszystkim mówił. Bałem się. Nie chciałem go stracić, nie wyobrażałem sobie życia bez niego. Pamiętam, jak po kilku miesiącach przeprowadzono ten cholerny zabieg. Cały czas czuwałem przy Mateuszu, bo guz już się rozrósł do niebezpiecznych rozmiarów, więc mogło się skończyć niefajnie. Kiedy mój przyjaciel się wybudził i lekarz powiedział, że jest dobrze, płakaliśmy z kumplami ze szczęścia. A on tylko się z nas śmiał. I dobrze, pomyślałem wtedy. Należy się cieszyć z każdego przeżytego dnia. *Carpe diem*, Bóg przygotował dla ciebie inny plan, bracie. Mateusz, jak to on, znów miał ubaw, tłumacząc nam, że nie wierzy w Boga i Jego plany, bo jest ateistą czy może agnostykiem, nie pamiętam. A ja sądzę, że się zwyczajnie zagubił. Bo który człowiek bez wiary zaproponowałby przyjacielowi, żeby został ojcem chrzestnym jego dziecka? Tylko ten, który poszukuje prawdy. Doradziłem mu, żeby się niczym nie przejmował, tylko brał życie pełnymi garściami. I w tej kwestii mnie posłuchał.

Zeszłej wiosny byliśmy w Egerze na Węgrzech, w Dolinie Pięknej Pani, i w tych przecudnych winniczkach żłopaliśmy byczą krew, przegryzając kromkami chleba z gęsim smalcem i czerwoną cebulą. Właśnie tam zdałem sobie sprawę, że Mateusz jest zakochany. Znam te jego tkliwe oczy na wylot i wiem, kiedy to coś poważnego, a kiedy jest tylko zauroczony. Pierwszy raz, odkąd się znamy, nie opowiedział mi o kobiecie, z którą stale wymieniał się krótkimi wiadomościami, pąsowiejąc na pysku ze szczęścia. Poczułem się nieswojo, jakby coś popsulo się między nami, facetami. I choć dałem się porwać magii miejsca i przyjaźnie nastawionym do nas obcokrajowcom, z którymi bawiliśmy się jak dzieci, Mateusz schrzanił cały wyjazd.

Nie spodobało mi się, że miał przede mną tajemnicę. Jest mi bliższy niż brat, więc powinienem wiedzieć, czy przypadkiem nie pcha się w jakiś głupi związek. A właśnie o to go podejrzewałem. I pewnie dlatego nie chciał się przyznać, bo wiedział, że go zniechęcę, on przecież też zna na wylot mój charakter. Niestety, potraktował mnie jak resztę paczki. Czy ja dla niego nic nie znaczę? Jestem przyjacielem, a przyjaciel to taki rodzaj kolegi, który da ci w mordę, kiedy zaczniesz sobie rujnować życie. Bardzo chciałem poznać prawdę, lecz postanowiłem, że uszanuję jego wybór i poczekam, aż sam mi opowie. Tak przecież robią bracia. Choć korciło mnie niemiłosiernie, żeby go wysledzić, nie zrobiłem tego. Mam swój honor.

Moja niewiedza okazała się błogosławieństwem aż do wczorajszej środy, czyli 13 marca 2019 roku. Wróciłem wcześniej z delegacji z Krakowa, około siódmej wieczorem, a miałem być po ósmej. Wszedłem do mieszkania po cichutku, żeby zrobić mojej Anielicy niespodziankę. I co? Usłyszałem, jak z nim rozmawia. Ba, to nie była zwyczajna rozmowa, lecz szczebiot. Wyznała mu miłość, wymieniła z czułością jego imię. Nie przesłyszałem się, jestem pewny. Czyżby mój najlepszy przyjaciel romansował z Anielicą? Nie, to jest niemożliwe. A jednak. Ona go kocha, na pewno to powiedziała, a mnie tak zatkało, że nie wydusiłem z siebie ani słowa. A powinienem zapytać, dlaczego mi to robi. I co to w ogóle oznacza?

Pękło mi serce. Podwójnie. Przez nią i przez niego. Na ćwiartki.

I co ja mam zrobić? Co każdy zrobiłby na moim miejscu? Mam im zakazać? A może przeczekać? Tylko czy da się przeczekać zdradę? Przecież mleko się rozlało. Po co się tak do niej spieszyłem? Gdybym przyjechał o zaplanowanym czasie, o niczym bym się nie dowiedział. Być może dalej byłbym nieświadomy, radosny, szczęśliwie głupi, że Anielica kocha tylko mnie, że przyjaciel nie jest szuja. Niestety mam już tę wiedzę. Być może mógłbym poudawać, że mi nie zależy, i poczekać, aż się odkochają. Bo pewnie to krótka fascynacja,

fanaberia, facetom czasem odpierdala po czterdziestce. Przecież ci dwoje nie pasują do siebie. Ona lepiej przylega do mnie, nie do niego. On także pasuje bardziej do mnie jako kumpel niż do niej jako kochanek.

Powiedziałem mojej najmilejszej, że jest zdradziecką kurwą. Zwyczajnie nie wytrzymałem. Rozpłakała się, choć czułem, że to nie była szczerza reakcja. Jakby przygotowała się na tę rozmowę, wyuczyła odruchu, tak pomyślałem, tak ocenił mój mózg. Przy okazji doceniłem, że się jednak przyznała. Ciekaw jestem, czy Mateusz tak łatwo jak ona podzieli się radosną nowiną.

Nie sądzę. Jak go znam – stchórzy.

Szlag mnie trafia. Jeszcze próbuję wypierać, że kobieta mojego życia ma romans z moim najlepszym przyjacielem, którego kocham bardziej niż Adama, choć prawdę mówiąc, Adam jest prawdziwym bratem. Zaledwie przyrodnim, ale w końcu to najprawdziwszy brat. To jednak z Mateuszem od liceum wszystko robimy razem, więc się pytam po raz setny w myślach, dlaczego mi to robi.

A ona? Z Anielicą znamy się od pięciu lat i do dziś wierzyłem, że jest mi pisana po grób. A może nadal wierzę? Nie wiem. Z tego wszystkiego nie mogę zmrużyć oka, a powinienem się porządnie wyspać. Kręcę się na sofie w gościnnym, samotnie, aż do drugiej godziny, by potem zabrać się za pakowanie. Muszę się spakować tylko na wyjazd, ale coś mi każe wziąć więcej moich rzeczy.

Spoglądam na zegarek. To wypasiony timex. Z kompasem i termometrem. Kwarcowy. Z podświetlaną tarczą, czarny, naprawdę zajebiste cacuszko. Mateusz mi go sprezentował na trzydzieste szóste urodziny. To był jego zegarek, ale wiedział, że mi na nim zależy. Timex ma już prawie dziesięć lat i czas mu nie służy. Zegarkowi czas nie służy. Ha, ha. Nawet mi się udało zażartować w tym trudnym dla mnie momencie. A może czas mu służy i przez to staje się bardziej kultowy? Chyba mam to gdzieś.



14 marca 2019 roku. Czwartek, godzina czwarta pięć. Wcześniej. Zimno. Szaro. Siedzę w mustangu, moim ukochanym samochodzie, i staram się ujarzmić myśli. Nie potrzebuję kawy, tak jestem nakręcony. Silnik się grzeje, jego mrukliwy turkot brzmi niczym kołysanka. Nie mogę się zebrać, choć powinienem wystartować, żeby zdążyć na czas. Przede mną osiem godzin jazdy w miejsce, którego wyjątkowo nie zaproponowałem ja. I źle się z tym czuję, bo wiem, że moje wybory destynacji na coroczne męskie wypady są zawsze najlepsze. Jestem zwolennikiem demokracji, daję kumplom kilka opcji, z których wspólnie wybieramy tę jedyną. Tym razem to Mateusz zdecydował. Kraina jezior, straszne zadupie na południowo-wschodnim krańcu Łotwy, niedaleko granicy z Białorusią. Na szczęście droga jest dobra i po przejechaniu granicy z Litwą w zasadzie ma być pusto. Można śmigać. Naszym głównym celem jest cud natury, Čertoka Ezers, po polsku Jezioro Czarcie. Lokalni nazywają je Oko Diabła, Jezioro Grozy, choć z lotu ptaka ma kształt serca. „Czadowo”, zareagowała reszta ekipy, kiedy Mateusz przedstawiał nam swój plan.

Skoro czadowo, to trudno.

Na wszelkie wypadki miałem alternatywę, zdecydowanie ciekawszą: przedłużony, dziki weekend w Tuszetii, gdzie są najniebezpieczniejsze drogi na świecie, przedsiónek Kaukazu. Nawet znalazłem tanie loty do Tbilisi przez Hamburg. Co za niewdzięcznicy.

Nie wiem, jak Mateusz przekonał chłopaków, żeby się zgodzili, aby to on dokonał wyboru za nas. Chyba zwyciężyła oszczędność, bo można pojechać samochodem, w miarę blisko z Warszawy, no i to Unia, płaci się w euro. Cel naszej wycieczki, położony w środku gęstej puszczy, jest unikatowy pod wieloma względami.

Ciekawe, nie? Las, jagody i jezioro. Kurwa.

Serio? To ma być atrakcja? Trudno mi się podniecać zwykłym Okiem Diabła, skoro mogliśmy polecieć do Gruzji. Chociaż, jeśliby

się nad tym zastanowić, zauważam plusy. Dookoła zero domów, same lasy i jeziora, dużo czasu na wszystko, na rozmowy, na ciszę, na wyjaśnienie trudnych spraw. Tak o tym rozmyślam teraz... Z jednej strony chciałbym się dowiedzieć, jak czuje się zdrajca, a z drugiej, co go popchnęło do tego czynu. Niby już za nim zatęskniłem, bo widzieliśmy się tydzień temu, mam jednak ochotę mu przywalić. Tak. Chciałbym go sponiewierać za to, że zbezczeszczył moją świętość. Czy tak postępują przyjaciele? Pewnie się wytłumaczy, że dostał ode mnie moralne prawo na czerpanie z życia, ale są jakieś granice, do cholery. Tak. Muszę go porządnie sprać, żebyśmy mogli dalej funkcjonować jako przyjaciele. Startuję. Głusza będzie idealnym miejscem na rozliczenie.



Podróż źle mi mija. Nie mogę się uspokoić, reaguję nerwowo na każde czerwone światło i kiepskiego kierowcę, przez którego muszę podwójnie uważać. Choć dla uspokojenia, a może z przyzwyczajenia, drapię się po kosmatej brodzie. Tym razem ulubiony nawyk niewiele pomaga, wszystko mnie śmiertelnie irytuje.

Tuż przed wyjazdem na Łotwę uderzyłem moją Anielicę. Pierwszy raz w życiu użyłem siły przeciwko kobiecie. Wstała razem ze mną jeszcze nocą, żeby mi zrobić kanapki na drogę. Miałem wrażenie, że starała się mnie zniechęcić do wyjazdu. A może ją sprowokowałem, bo byłem spakowany jak na ostatnią wycieczkę. Zorientowała się, tak myślę, choć ja wcale nie miałem pewności, czy chcę od niej odejść. Zamierzałem ją tylko nastraszyć, że to ostatnie wspólne chwile. A ona chyba faktycznie się obawiała, że nigdy do niej nie wrócę. Sam nie wiem. Uważam, że jako mężczyzna nie powinienem strzelać focha, tylko okazać zwierzęcą, samczą złość. A ja cały byłem jednym wielkim wkurwieniem, ręce mi się trzęsły, co oczywiście mnie nie tłumaczy. I nie wiem, jak to się stało, ale nie powstrzymałem lewej

ręki. Anielica upadła i po chwili zbladła. I najgorsze jest to, że nie potrafiłem wydedukować, czy to z bólu, który jej zadałem, czy może z obawy przed tym, co zrobię Mateuszowi. Albo on mnie. Bo przecież wszystko jest możliwe, kiedy faceci biją się o kobietę. Sądzę jednak, że chodziło o ten policzek. Czy ludzie muszą dostać powód do szczerych reakcji? Nienawidzę kłamstwa, udawania, pomyślałem wtedy, lecz teraz zaczynam się wstydzić przed sobą za ten głupi osąd i wściekać za to, że uderzyłem moją miłość. Psiakrew, szykuje mi się trudny weekend. Dwa dni na załatwienie spraw, dwa dni nerwówki o los związku i trwogi o przyszłość. Powinienem przeprosić Anielicę, choć po tym, co mi zrobiła, nie mogę okazywać słabości. I jeszcze ten Mateusz. Muszę się z nim rozmówić, choćbyśmy mieli zakończyć naszą przyjaźń. Bo tak się nie robi. Powinienem zapytać moją kobietę, czy przed Mateuszem też miała kogoś na boku. Jak długo przyprawia mi rogi? Czy to się zaczęło jeszcze w zeszłym roku, kiedy byliśmy w Egerze?

Teraz mieliśmy jak zwykle jechać razem całą paczką, czterech jeźdźców apokalipsy, w końcu mieszkamy nie tak daleko od siebie, zaledwie w obrębie Warszawy. Kiedy się dowiedziałem smutnej prawdy, nie chciałem jechać z nim, ze zdrajcą, tym samym samochodem, siedzieć jak zwykle obok niego. Nijak nie mogłem. Nie od razu. Wyłgałem się, zwalając winę na problemy gastryczne, że nie chcę ich opóźniać, niech jadą beze mnie, bo mam rotawirusa. Mateusz chyba coś przeczuwał. Przecież nie zdążył się dowiedzieć od Anielicy, że się wydało, że już wiem o nich. Ona nie miała, jak go uprzedzić. Namówił więc chłopaków, Ślimaka i Prezesa, czyli resztę naszej paki, Marka Motykę i Łukasza Kowalika, żebyśmy pojechali na dwa samochody, oni we trójkę i ja osobno. Nie oponowali. Najwyżej dojadę na wieczór, powiedzieli, zaznaczając, abym się do nich zanadto nie zbliżał. Ważne, żebym nie złamał naszego przyrzeczenia, żebym się stawił, choćby na chwilę.